

Anna Kańtoch

*Miasto w zieleni  
i błąkicie*



Fabryka Słów

# Anna Kańtoch "Miasto w zieleni i błękicie" (fragment)

*Fahrenheit Crew*

Dyskusje z Julhetem i jego przyjaciółmi zawsze miały podobny przebieg. Artyści byli anarchistami i zwolennikami wolnej miłości, a Mel sprzeciwiała im się, bynajmniej nie dlatego, że nie popierała ich poglądów – bo popierała – ale z czystej przekory. Używała przy tym dość osobliwych argumentów. Dzisiejszego wieczoru na przykład broniła małżeństwa, twierdząc, że jego istnienie nie jest tak zupełnie bezzasadne. Dlaczego? Ano dlatego, że miłość, przyprawiona zdradą i poczuciem winy, ma znacznie ciekawszy smak.

Wszyscy czterej – muzyk Caty, malarze Julhet i Florentin oraz Ferratou, aspirujący do bycia poetą – różnili się kolorami włosów i oczu, wzrostem i wagą, ale wyglądali niemal jak bracia. Nosili się z typową dla przedstawicieli cyganerii nonszalancją. Mieli na sobie barwne surduty z wysłużonego aksamitu, koszule z miękkimi kołnierzami, zamiast krawatów fantazyjnie zawiązane kolorowe chusty, a na głowach kapelusze z szerokim, lekko opadającym rondem.

Na zakończenie dyskusji Julhet zaproponował, by Mel, korzystając ze swoich zdolności, pokazała jakąś magiczną sztuczkę.

- Potrafisz odgadywać myśli? – spytał.

- Oczywiście – przytaknęła z szerokim uśmiechem.

Julhet milczał przez chwilę, odrobinę naburmuszony.

- No, więc o czym teraz pomyślałem, co?

Melisandra nie zastanawiała się.

- Właśnie przed chwilą pomyślałeś sobie, że zaprzeczysz wszystkiemu, co teraz powiem.

Długa na miłę mina malarza powiedziała wszystkim, że dziewczyna trafiła w dziesiątkę. Trzej pozostali rozmówcy roześmiali się. Julhet skrzywił wargi i ziewnął demonstracyjnie. Za oknem tawerny „Pod Pióropuszem” powoli wstawał zamglony świt. Dyskusja przygasła. Wkrótce Mel wstała i pożegnała się. Do drzwi odprowadził ją Caty.

- Naprawdę potrafisz czytać w myślach? – spytał.

Roześmiała się.

- Oczywiście, że nie. Zgadłam po prostu. Prawdę powiedziawszy, w podobnej sytuacji mnie też coś takiego przyszłoby do głowy. Do jutra.

- Do jutra – pożegnał ją grzecznie muzyk.

Szła pustymi ulicami Gouttenegre, w ciszy słysząc tylko stukot własnych butów na ulicznym bruku. W bramach kamienic czekało paru nocnych marków, którzy widząc nadchodzącą postać, z nadzieją wychylili się na ulicę. Spostrzegłszy jednak, że to tylko szczupła sylwetka ubrana w połatane spodnie i byle jaki surdut, cofnęli się z powrotem. Minęła aptekę z wypisaną informacją „NIE SPRZEDAJEMY

MAGICZNYCH SPECYFIKÓW” i zatrzymała się gwałtownie. Poczucie zagrożenia, jakie odebrał jej umysł, z pewnością nie mogło być związane z czającym się na przypadkowego przechodnia złodziejem. Stała pod jedną z nielicznych w tej dzielnicy latarni, reszta ulicy tonęła w porannej mgle. Odetchnęła i spróbowała się skupić.

Wiedziała, że z tej mgły ktoś na nią patrzy. Dwie... nie, trzy osoby. Na użytek nieznanego obserwatora wykonała prostą pantomimę. Zajrzała po kolei do kieszeni surduta, przetrząsnęła spodnie i pokręciła głową. Ale jestem głupia, mówił ten gest, znów czegoś zapomniałam. Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. Szczęśliwie Julhet i reszta stali jeszcze przed wejściem do tawerny.

- Ktoś na mnie czeka - powiedziała pospiesznie. - Przed domem. Myślę, że chcą mi zrobić coś złego.

Ferratou podrapał się po pokrytym krótką szczecina policzku.

- A co ja niby mam ci na to poradzić, hę?

- Nie wiem, ale ja się boję.

- Ja też - wyznał Ferratou bez cienia wstydu.

- Ilu ich jest? - spytał jak zawsze praktyczny Caty.

- Trzech - odparła Mel.

- Nas jest więcej. Chodźmy ją odprowadzić. Jak będziemy w kupie, to nic nam nie zrobią.

Pozostali pomrukiem wyrazili zgodę. Melisandra została wzięta w środek i razem pomaszerowali w stronę domu dziewczyny. Przed bramą Mel zwolniła. Julhet pociągnął ją do przodu.

- Nie bój się - szepnął.

Nie bała się. Próbowała tylko sięgnąć umysłów czekających na nią ludzi. Wyczuła ich zaskoczenie, gdy zobaczyli ją idącą w towarzystwie czterech mężczyzn, potem niepewność, a w końcu złość i rozczarowanie. Trzy cienie przemknęły we mgle wzdłuż kamienicy i znikły w bocznej uliczce. Nikt nie próbował ich ścigać.

Artyści poczekali, aż Mel otworzy drzwi, i przykazali jej, by zamknęła się na klucz, a w razie czego wołała Julheta. Po chwili została sama. Zapaliła wszystkie świece i lampy, jakie udało jej się znaleźć, sprawdziła, czy okna są dobrze zamknięte, i zerknęła przez szparę w okiennicy. Ulica była pusta i cicha. Taka cisza panuje w Gouttenegre tylko o świcie, gdy ci, którzy bawili się przez całą noc, już śpią, a ci, którzy wcześniej wstają, jeszcze się nie obudzili.

Stała przez chwilę przy oknie, słuchając swego niespokojnego oddechu. Po kilku minutach z lampą w ręku wyszła przed dom. Liczyła, że któryś z prześladowców zgubił coś, co pomoże ustalić jego tożsamość. Ale niczego nie znalazła. Wróciła więc do mieszkania i przekręciła klucz w zamku.

Koło jedenastej Julhet obudził ją, pukając w drzwi.

- Przyjdiesz na śniadanie? - spytał.

Od trzech tygodni, czyli od czasu, gdy Mel wyprowadziła się z domu i zamieszkała w Gouttenegre, byli sąsiadami. Julhet, prócz artystycznej wolności, cenił sobie także domowe ciepło. Mieszkała z nim małomówna kobieta, którą nazywał żoną. Ciemnoskóra Niyu z jednakową cierpliwością sprzątała, gotowała posiłki i zносиła ekstrawaganckie wybryki malarza.

- Słyszałaś już o tym, co stało się dzisiejszego ranka? - spytał, pogryzając ciemny chleb grubo posmarowany miodem.

Mel pokręciła głową.

- Ktoś pobił tę kobietę, która na rogu, przy cukierni, wróżyła z kart i ptasich kości. Stłukł ją tak, że wyzionęła ducha. Dziwne, nie? Najpierw ktoś chce dopaść ciebie, a zaraz potem ginie stara Fabre. Ładne mamy czasy, co?

- Myślisz, że to ci sami, którzy czekali na ciebie? - spytał Benedit Justy, odsuwając pusty talerz. Zawsze gdy Mel przychodziła do tawerny „Pod Pióropuszem”, jasnowidz albo zaczynał, albo kończył posiłek.

- Nie mogę być pewna. Ale to możliwe.

Benedit Justy był jedynym człowiekiem, któremu powiedziała o swoich przypuszczeniach. Ludzie chętnie zwierzali się flegmatycznemu jasnowidzowi, myślącemu wolno, lecz precyzyjnie. Mel przynajmniej mogła być pewna, że Justy nie zechce - w imię bezpieczeństwa - namawiać ją na powrót do domu. Odkąd przeprowadziła się do Gouttenegre, większość ludzi nie dawała jej spokoju, tłumacząc, jak bardzo niebezpieczne dla młodej dziewczyny jest samotne życie. A Melisandrze to właśnie się podobało. Po raz pierwszy utrzymywała się samodzielnie z tego, co udało jej się zarobić dzięki swoim magicznym umiejętnościom, i nie miała zamiaru rezygnować.

- Nie mógłbyś urządzić tego tak, abyś to ty zajął się ciałem? - spytała.

Justy wzruszył ramionami.

- Daj spokój. Zwłoki tej kobiety nie trafią ani w ręce jasnowidza, ani lekarza sądowego.

- A gdzie w tej chwili znajduje się ciało?

Justy'ego do miejskiej kostnicy wpuszczono bez trudu, większym problemem okazało się przemycenie Melisandry. Jasnowidz polecił jej ubrać się „przyzwoicie” i przedstawił jako swoją asystentkę, ale i tak pracownicy spoglądali na nią podejrzliwie - kobiety bardzo rzadko pracowały dla policji.

- Które to? - spytała Mel, nie wiedząc czemu szeptem, gdy znaleźli się w podłużnej, podziemnej sali o beczkowatym sklepieniu. Kiedyś musiała tu być piwnica na wino, w powietrzu unosił się jeszcze lekki zapach alkoholu. Zapach ten mieszał się z wonią pęków suszonych ziół, które wisały na ścianie. Ostrożnie pociągnęła nosem, ale nie wyczuła niczego nieprzyjemnego. Było to pomieszczenie przeznaczone na zwłoki najbiedniejszych, których szybko chowano na koszt miasta w prostych, białych całunach.

Justy trafił za drugim razem. Podniósł prześcieradło i postawił latarnię na stole tuż obok głowy zmarłej.

- Ty to zrobisz czy ja? - spytał.

- Ja. - Dziewczyna spojrzała na starą, niezbyt utalentowaną czarownicę, która jednak miała tyle wiedzy magicznej, by nauczyć ją paru ciekawych sposobów wróżenia. Spodziewała się ujrzeć zmasakrowaną tkaninę, krew i kości, które przebiły skórę. Tymczasem twarz czarownicy była cała, ale jej wargi wykrzywiał upiorny grymas, jak gdyby zmarła w straszliwych męczarniach.

Zdumiona Mel pokręciła głową. Czubkiem języka dotknęła strużki krwi, która wyciekła z ust

staruszki.

Wspomnienia Agustiny Fabre były chaotyczne i zamazane.

Gdy wracała wczesnym rankiem z targu, ktoś złapał ją brutalnie za ramiona, ktoś inny zadał pierwszy cios. Koszyk z zakupami wypadł jej z ręki, pod nogi potoczyły się jesienne jabłka. Ciosów nie było dużo. Staruszka już po drugim zwisała w rękach tego, który ją trzymał. Drugi, a może trzeci, przemocą otworzył jej usta. Przez moment widziała przed sobą zamaskowaną twarz, potem zamknęła oczy. Poczowała na języku posmak czegoś metalicznego, a chwilę później potworny ból, jakby ktoś wepchnął jej w gardło żarzącą się głownię. Chciała to wypluć, ale tamten przyciskał dłoń do jej twarzy, zasłaniając nos i usta. Nie musiał czekać, aż zabraknie jej powietrza. Agustina Fabre umarła z przerażenia i bólu, podczas gdy mały, metalowy krążek wypalał jej gardło.

- Melisandro? - Głos Justy'ego przywrócił dziewczynę do rzeczywistości. Podniosła powieki, dotąd kurczowo zaciskane. Jasnowidz uspokajającym gestem obejmował jej ramiona.

- Widziałas ich twarze? - spytał.

- Nie. Nosili maski. Ale jestem niemal pewna, że to ci sami, którzy czekali na mnie.

To była prawda. Nad ranem poczuła emanującą z czających się w bramie postaci tę samą nienawiść - nienawiść młodych, bardzo pewnych siebie ludzi, którzy marzą o tym, by oczyścić świat z plugastwa.

- Niczego więcej się nie dowiemy. Chodźmy.

Skierował się do wyjścia, ale Melisandra zaprotestowała.

- Czekaj. Ona umarła, bo ktoś wepchnął jej coś w gardło. Chcę to zobaczyć.

Skrzywił się, ale nic nie powiedział. Silnymi, wielkimi jak patelnie dłońmi ujął głowę staruszki i wyłamał jej szczękę. Teraz twarz Agustiny Fabre sprawiała jeszcze upiorniejsze wrażenie. Aż dziw, że z otwartych do krzyku ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Mel zajrzała w gardło kobiety. Dostrzegła tam masę poczerniałej, spieczonej tkanki. I coś jeszcze. Srebrny błysk, który zamigotał w żółtym świetle latarni. Zanurzyła palce w otwartych ustach.

- Zostaw, ja to zrobię - powstrzymał ją Justy.

Skinęła głową. Jasnowidz miał zbyt szerokie dłonie, by dostać się do tego, co spoczywało w głębi gardła zmarłej. Szczęściem „przyzwoity” strój Melisandry obejmował także ukryty pod bluzką, zgrabny półgorsecik. Wysupłała cienki drucik, zgięła go w haczyk i podała jasnowidzowi. Przy jego pomocy Justy wyłowił srebrny łańcuszek, na końcu którego wisiał okrągły medalik.

- Święty Imbert - mruknął. - Chroni przed czarami, a także zabija czarownice, gdy wierni życzą sobie tego wystarczająco mocno.

Ostrożnie dotknęła blaszki. Zamiast palącego bólu poczuła tylko lekkie mrowienie. Justy spojrzał na nią zdumiony. Ale przecież Melisandra nie urodziła się czarownicą. Była chrześcijanką, do trzynastego roku życia chodziła do kościoła i modliła się co wieczór. Nic dziwnego, że święci nie wiedzieli, co o niej myśleć.